

Diabelski most

Był raz król, który zapragnął połączyć swój stojący nad przepaścią zamek z przeciwległą skałą. Ale by mogło się to udać, potrzebny był naprawdę niezwykły most. Król zapraszał różnych inżynierów i budowniczych, ale nikt nie odważył się podjąć wykonania mostu. Trzeba go było bowiem wznosić w powietrzu – bez żadnego fundamentu, bez filarów, bez najmniejszego oparcia. Powietrzno-kamienny łuk istniał wciąż jedynie w wyobraźni króla, jedynie w jego wyobraźni siwe rumaki królewskiego powozu, krzesząc spod podków iskry, pędziły na drugą stronę szybciej niż wiatr.

Lata mijały, a nad przepaścią nadal słychać było jedynie nawoływania kruków i krzyki sokołów. Król pogrążył się w smutku, a do poddanych nie zwracał się nigdy inaczej niż w pełnych gniewu słowach. Co rano stawał na zasypanym przez suche liście tarasie pałacu i długo spoglądał na przeciwległą skałę. Czasem spowijała ją mgła, czasem ciemne kamienie rozbłyskiwały w słońcu tysiącem srebrnych świateł. Król splatał dłonie aż trzeszczały i chodził wzdłuż kamiennej balustrady tarasu tam i z powrotem, nie zwracając uwagi na nic i na nikogo.

Posłańcy rozbiegli się po całym świecie w poszukiwaniu budowniczego, który zdołałby wnieść most – budowniczego, który uleczy króla ze



smutku. Jednak jeden po drugim wysłannicy wracali z niczym, nie śmiąc nawet zameldować się u władcy.

Aż pewnego razu do wrót pałacu zastukał obdarty i bardzo chudy człowiek. Służba nie mogła się nadziwić, gdy podróżny – kłaniając się nisko i zamiatając przy okazji figlarnym kapeluszem z piórkiem podłogę – przedstawił się jako najstynniejszy twórca mostów, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

– Najstynniejszy, ale raczej największy włóczęga i błazen, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi – przekonywali króla doradcy.

– Trefniś chce wykorzystać sytuację, by napełnić żołądek przed dalszą wędrówką – dodawał królewski alchemik i astronom w jednym, który już dawno ze wszystkich znaków na ziemi i na niebie wyczytał, że upragnionego mostu nie da się zbudować.

Król jednak kazał zawołać podróżnego. Zapatrzony w skałę po drugiej stronie przepaści, nawet nie odwracając twarzy do gościa, odezwał się po zdającej się trwać wieczność chwili milczenia.



– Dostaniesz tyle jedzenia, ile zechcesz; tyle samo najlepszego wina, a także pomocników, przyrządów mierniczych i narzędzi. Nikt nie będzie cię niepokoił, każde twoje najdziwniejsze nawet życzenie zostanie spełnione. Masz dwanaście miesięcy na swoje zadanie. Ostatniego dnia o zachodzie most prowadzący przez przepaść ma być gotowy. Czy wszystko jest jasne?

– Jak słońce świecące nad Waszą Wysokością – zabrzmiał beztrojski głos.

Król nie odezwał się; słudzy dali podróżnikowi znak, że władca chce zostać sam. Najsłynniejszy na świecie budowniczy mostów pociągnął nosem, podniósł opadającą do kostki dziurawą pończochę i wesoło pogwizdując, wyszedł z królewskiej komnaty.

Tygodnie mijały, a prace nie posuwały się do przodu. Podróżny nabrał okrągłych kształtów, chodził w czystych, bogato zdobionych szatach i do późna w nocy opowiadał w kuchni najdziwniejsze przygody, jakie kiedykolwiek kuchcikowie słyszeli. Nie brakowało w nich straszliwych smoków, uratowanych księżniczek i okpionych czarnoksiężników, nigdy



jednak nie został wspomniany żaden most – czy to sławny, czy nawet okryty nieślawą.

Doradcy próbowali ostrzec króla przed oszustem.

– Objada twój pałac, panie – zaczęli cicho. – Nie ma pojęcia, jak zbudować babkę z piasku, a co dopiero most nad przepaścią. Wygnaj go.

– Milczec – uciął król. – Zawarłem z nim umowę, a rok jeszcze nie minął. Jeśli nie wywiąże się z zadania, dobrze wie, że kara go nie minie.

Dworzanie pokiwali głowami, nie wiadomo – z niedowierzania, że władca wciąż łudzi się, iż most zostanie zbudowany, czy z rezygnacją, bo nie wątpili o swojej racji. „Król jest szalony” – pomyślał ten i ów, nikt jednak nie odważyłby się wypowiedzieć tego na głos, nawet przez sen.

Ale zdawało się, że ściany zamku i tak słyszą i dzielą się nowinami ze swoim władcą, gdyż król stał się jeszcze bardziej milczący, bez powodu wybuchał gniewem, a chwilami budziło się w nim nawet okrucieństwo – wcześniej nieznanne w pałacu. Poddani przemykali korytarzami bezszeltnie jak cienie, rozmowy prowadzili szeptem. Tylko najszynniejszy

budowniczy mostów świata nie tracił humoru, sypał kawałami jak z rękawa i objadał się do granic możliwości.

Ale pewnego dnia, gdy jego kolacja (choć właściwszym byłoby z pewnością nazwać ją ucztą) przeciągnęła się do rana, podróżny, trąc zażawione jeszcze od śmiechu i dymu z rozna oczy, wyszedł na krużganek – i zmarł.

Na tarasie poniżej król, przekonany, że jest sam, klęczał tuż przy kamiennej balustradzie i płakał. Nad skałą powoli podnosiło się słońce, ale przepaść wciąż jeszcze tonęła w mroku i chłód z niej wypelzający wstrząsnął dreszczem ciało podróżnika.

Najstynniejszy budowniczy mostów jeszcze tego samego dnia w tajemnicy spakował swój węzełek i poczekawszy do wieczora, podkraść się do bramy. Nigdzie nie było straży – najwidoczniej poprzednia zmiana już zeszła, a nowa jeszcze się nie stawiła. Nie było chwili do stracenia. Uciekinier czuł już niemal zapach nocy na zewnątrz i myślał tylko o tym, że zaraz wydostanie się z zamku ponurego władcy.



– Dokąd to przyjacielu? – silne dłonie chwyciły podróżnika za ramiona i tułów i nie zważając na późną porę, powlekły do królewskich komnat.

– Do pełnego roku i końca naszej umowy brakuje jeszcze trzech dni – powiedział król matowym głosem do osłupiałych poddanych, kiedy ci stanęli przed władcą z niedoszłym uciekinierem. – Wypuście go.

Po czym, ni to do siebie, ni to do zbiega, dodał nagle:

– Ucieczka stąd jest niemożliwa, przecież o tym wiesz.

Podróżnikowi zdjęto z dłoni więzy i – zgodnie z życzeniem króla – puszczone wolno, by miał pełną swobodę przy budowie mostu. Żarty jednak się skończyły. Budowniczy stracił apetyt i nieco przybladł, po korytarzach ścigał go szyderczy śmiech poddanych; kuchcikowie ze strachem odwracali się od podróżnika plecami, gdy ten zaglądał do kuchni. Godziny wlokły się w nieskończoność – i pędziły na złamanie karku jednocześnie. Budowniczy spoglądał z tarasu na przepaść i ciemną skałę i zdał sobie w końcu sprawę, że sam wpadł w pułapkę.

Minął jeden dzień, a potem drugi. Król nie pokazywał się nikomu i zabronił nawet zbliżyć się do swych komnat. Podróżnik bił głową w mur, żaden jednak genialny pomysł nie zabłysnął mu w umyśle.

– Już po mnie – stwierdził rzeczowo przybysz, gdy nastał świt ostatniego dnia z wyznaczonych dwunastu miesięcy. – Dałbym wszystko za szansę dotrzymania obietnicy, ale już za późno.

– O, wcale nie – zaszemrało wtedy coś z tyłu.

Podróżnik gwałtownie odwrócił się. W głębi komnaty stała zawinięta w ciemny płaszcz postać.

– Możesz zbudować ten most? – przeraził się niedoszły budowniczy.

– Owszem, tylko po co?

Przez głowę podróżnika przemknęły w jednej chwili tysiące myśli. „Ocalenie, ocalenie!” – ta pulsowała najmocniej.

– Dam ci, co tylko chcesz...



– Chcę pierwszą żyjącą istotę, która przejdzie przez ten most – głos był stanowczy i zimny.

– Zgoda!

Ale do myśli „ocalenie!” dołączyła nagle inna, niewypowiadalna, przypominająca sopel lodu.

W tej samej chwili nad przepaścią zawisł kamienny łuk, łączący zamek z ciemną połyskującą skałą.

Przez korytarze pomknęły okrzyki i nawoływania dworzan. Każdy, kto mógł, biegł do okien, na balkony lub na krużganki, by zobaczyć dziw nad dziwy: most, którego jeszcze rano nie było, a teraz – choć zdawał się tak lekki, jakby był utkany z mgły – tkwił nad przepaścią nieporuszony, niczym zbudowany równocześnie z zamkiem królewski trakt.

Po przeciwnej stronie, u końca mostu stała otulona ciemnym płaszczem postać i najwyraźniej na coś czekała.

Zgodnie ze starym zwyczajem, pierwszym człowiekiem, który może przejść przez nowy most, jest jego budowniczy – i podróżnik stał przy

zamkowym krańcu mostu, ale bynajmniej nie zamierzał wchodzić nań pierwszy. Skłonił się nisko czekającej na niego postaci, kapelusz z piórkiem zamiótł kamienny trakt i w tej samej chwili samym środkiem popędził uwolniony nagle zza pazuchy prosiak.

Z piersi czekającej na drugim brzegu sylwetki wyrwał się ryk gniewu; czarny obcas z całej siły uderzył o kamienną kostkę. Postać zniknęła.

– Tę dziurę chyba niełatwo będzie załatać! – krzyknął ze śmiechem podróżnik do zapełniającego okna i krużganki dworu i w wesołych podskokach przebiegł na drugą stronę w ślad za kwiczącym prosięciem. Przy połyskującej skale obrócił się jeszcze i jak szalony pomachał w kierunku stojącego na tarasie króla.

– Ukradł prosię z pałacowej kuchni! – udał oburzenie kucharz, a król wybuchnął śmiechem. Prosiak jednak wracał już pędem, szeroko omijając dziurę.

– Ech, jaki to most!... – dobiegł ich jeszcze głos podróżnika. – Najwyżej mostek!

I za zakrętem drogi znikł im z oczu.

